

Bartłomiej Kozłowski

O sprawie Władysława Mazurkiewicza - „eleganckiego mordercy”

Tekst opublikowany pierwotnie na portalu Polska.pl

Seryjny morderca jest kimś, kogo nikt nie chciałby spotkać. Na ogół wyobrażamy go sobie jako osobnika z szałem w oczach – odrażającego i przerażającego zarazem - na którego sam widok co wrażliwe osoby mogłyby umrzeć ze strachu.

Taki obraz seryjnego mordercy niekoniecznie jest jednak prawdziwy. Tak w ogóle – to niektórzy najgroźniejsi przestępcy są ludźmi o ujmującej powierzchowności. Weźmy chociażby takiego Jeremiasza Barańskiego ps. „Baranina” - rezydenta polskiej mafii w Wiedniu i ponad wszelką wątpliwość (choć nie zostało to udowodnione w sądzie wskutek jego wcześniejszego samobójstwa) mocodawcę zastrzelenia ministra sportu w gabinecie Jerzego Buzka, Jacka Dębskiego. Ten bezwzględny zbrodniarz, bez wahania zlecający egzekucje osób, które w jakiś sposób weszły mu w drogę, uchodził za wzór elegancji i dobrych manier. Świetnie się ubierał, mówił biegle po angielsku i niemiecku, obracał się w sferach dyplomatycznych, pełnił nawet funkcję honorowego konsula Liberii w Republice Słowacji.

Prawdziwy gentleman

Może nie aż tak ustosunkowanym, lecz mimo wszystko obracającym się w wytwornym towarzystwie i będącym wzorem *savoir vivre* 'u człowiekiem był urodzony w 1911 r. w Krakowie i mieszkający tam w luksusowym apartamencie przy ul. Juliana Marchlewskiego (obecnie Beliny-Prażmowskiego) na Osiedlu Oficerskim Władysław Mazurkiewicz. Ten elegancki, wytworne odziany, pachnący zachodnimi płynami po goleniu pan miał wszelkie cechy porządnego krakowianina. Grał w brydża, posilał się we "Francuskim", "Hawelce" i "Wierzynku", pijał kawę w "Grandzie", swym „Oplem Olympia” często udawał się do Zakopanego, gdzie w przeciwsłonecznych okularach leżakował na Gubałówce, sypiał w „Orbisie” i uczeszczał na dancingi do „Watry”.

Innymi słowy mówiąc, żył on tak, jak cały podwawelski *beau monde* (franc. „piękny świat”) w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Taki styl życia był dla tych ludzi jedynym możliwym sposobem wyrażenia protestu przeciwko zgrzebności realnego socjalizmu.

To kula!

Opinię lwa salonowego Mazurkiewicz miał do 26 września 1955 r. Tego dnia do jednego z warszawskich szpitali zgłosił się niejaki Stanisław Łopuszyński, narzekając na uporczywy ból głowy. Kilka dni wcześniej wracał on z Mazurkiewiczem z Zakopanego, zasnął w samochodzie i obudził go huk. W otwartych drzwiach stojącego na poboczu samochodu stał Mazurkiewicz. Huk i rankę na potylicy Łopuszyńskiego wytłumaczył wybuchem petardy „żabki”, którą miał rzucić, by zrobić koledze dowcip. Prawda okazała się szokująca. Dokonane w szpitalu prześwietlenie, a następnie operacja wykazały, że w czaszce Łopuszyńskiego tkwi ołowiana kula kalibru 6,35 mm, którą Mazurkiewicz wystrzelił z pistoletu Walther, aby go uśmiercić.

Największy morderca w powojennej Polsce?

Władysław Mazurkiewicz zamordował co najmniej sześć osób, a dwie usiłował zgładzić. Niewykluczone, że lista jego ofiar była znacznie dłuższa – w śledztwie przyznał się podobno do zabicia co najmniej 30 kobiet. Jeśli byłoby to prawdą, to byłyby on największym mordercą w powojennych dziejach Polski. Przypomnijmy, że działającemu w latach 1964 – 1970 „Wampirowi z Zagłębia” – którym na pewno nie był skazany na karę śmierci i stracony [Zdzisław Marchwicki](#) – przypisywano zabicie 14 kobiet i usiłowanie zabójstwa 6 innych.

Truł, strzelał, okradał

Mazurkiewicz zabijał na różne sposoby. W czasie okupacji truł swoje ofiary cyjankiem potasu, którym nasączał herbatę w termosie lub bułki z szynką, którymi je częstował. Po wojnie proponował im nielegalne w owych czasach transakcje handlowe, następnie wywabiał w ustronne miejsca i tam strzelał w tył głowy. Dwie osoby zastrzelił na odludnej drodze prowadzącej do klasztoru Kamedułów na krakowskich Bielanych, jedną otruł na wale wiślanym w Pychowicach, trzy inne zastrzelił w swoim garażu przy ul. Marchlewskiego. Zwłoki dwóch ofiar wrzucił do Wisły, jedno ciało wywiózł do lasu pod Liszkami, a dwa pozostałe замуrował pod betonową podłogą w garażu. Wszystkie zwłoki okradał.

Sensacyjna sprawa

Proces Władysława Mazurkiewicza toczył się w 1956 r. w Sądzie Wojewódzkim w Krakowie. Rozprawa ta stała się bardzo głośna dzięki cyklowi reportaży, jaki w ówczesnym „Expressie Wieczornym” zamieścił na jej temat Lucjan Wolanowski, a także dzięki artykułowi „Proces przeciwko miastu”, który opublikował będący również sprawozdawcą z tego procesu Marek Hłasko.

Urodzinowa „niespodzianka”

Obroncą Mazurkiewicza był znany krakowski adwokat Zygmunt Hofmokl - Ostrowski (1873-1963). W swym wystąpieniu końcowym przyjął on niezwykłą z dzisiejszego punktu widzenia, ale charakterystyczną dla ówczesnych czasów linię obrony: argumentował, że ofiarami tego mordercy byli „ludzie niepełnowartościowi”. Chodziło o to, że systemie socjalistycznym mniej cenne jest życie człowieka trudniącego się pokątnym handlem lub trzymającego w domu obce waluty, aniżeli kogoś, kto uczciwie pracuje na państwowej posiadzie. Sądu jednak nie przekonały te klasowe argumenty i 30 sierpnia 1956 r. Mazurkiewicz został skazany na karę śmierci. Powieszono go 31 stycznia 1957 r. w krakowskim więzieniu przy ul. Montelupich - dokładnie w jego 46 urodziny.

[Strona główna](#)